

Pensja pani Lambert

Tego październikowego poranka ulica Miodowa budziła się później niż zwykle. Wilgotna mgła, tak charakterystyczna dla warszawskiej jesieni, spowijała kamienice i kościelne wieże, a przechodnie przemykali chodnikami jak cienie, chroniąc się pod parasolami przed mżawką.

Klara Zawadzka szła szybkim krokiem w stronę pensji pani Lambert. Mimo młodego wieku – miała zaledwie dwadzieścia dwa lata – jej sposób poruszania się zdradzał już pewną nauczycielską dostojność. Ubrana była skromnie, ale ze smakiem właściwym osobom z dobrego domu, które podupadły, lecz nie straciły dawnych nawyków. Czarna suknia, choć nie pierwszej już młodości, wyświecona na szwach, była starannie odprasowana, a skromny kapelusik, choć niemodny, dodawał jej twarzy uroku, ale i powagi, której tak bardzo potrzebowała w pracy.

Mijając wystawę księgarni Gebethnera i Wolffa, mimowolnie zwolniła kroku. W ciemnej tafli witryny mignęło jej własne odbicie – blada twarz pod niemodnym rondem kapelusza – ale to nie na siebie patrzyła. Za szybą, pośród nowości wydawniczych, pysznił się najnowszy numer „Kuriera Warszawskiego”. Wiedziała, co w nim znajdzie – kolejną recenzję literacką Juliana Korzyńskiego. Od trzech miesięcy czytała je wszystkie, choć za każdym razem obiecywała sobie, że to ostatni raz.

Poznała go w tej samej księgarni, w czerwcu, gdy sięgnęli jednocześnie po tom Asnyka. On, syn bogatego kupca bławatnego, wykładowca literatury i znany krytyk, nawet na nią nie spojrzał, zajęty rozmową z księgarzem o najnowszych paryskich nowinkach literackich. A jednak coś w jego sposobie mówienia o poezji, w błysku inteligencji w oczach, w tej pasji, z jaką bronił swoich opinii, sprawiło, że zapadł jej w pamięć.

– Jak na kupca zaskakująco dobrze zna się na literaturze – usłyszała wtedy szept jednej z klientek księgarni.

– To przez matkę – odpowiedziała druga. – Z domu Kernówna, córka tego księgarza z Krakowskiego Przedmieścia. Zawsze miała wielkie ambicje. Męża namówiła, żeby syna na studia do Heidelbergu wysłał...

Klara pamiętała te plotki oraz to, że Julian Korzyński nawet nie zauważył jej obecności. Zresztą, była do tego przyzwyczajona. Od śmierci ojca trzy lata temu stała się niemal przezroczysta dla towarzystwa, w którym dawniej jej rodzina się obracała. Córka szanowanego doktora Kazimierza Zawadzkiego, wychowana wśród książek i muzyki, teraz była tylko jedną z wielu nauczycielek na pensji dla panien.

Skręciła w Krakowskie Przedmieście. Jej ojciec miał tu kiedyś swoją praktykę lekarską, w tej samej kamienicy, gdzie teraz błyszczała mosiężna tabliczka: „MAGAZYN BŁAWATNY KORZYŃSKI I SYN”. Pod spodem mniejszymi literami widniał napis: „JEDWABIE * SUKNA * AKSAMITY * TOWARY ZAGRANICZNE”. Wszystko zapisane cyrylicą. Mimo wczesnej pory przez wystawowe okna było już widać krzątających się subiektów, którzy układali na drewnianych regałach zwoje jedwabiu sprowadzanego z Lyonu. Czasem, przechodząc obok, dostrzegała przez szybę sylwetkę Juliana – zawsze elegancki, w swoim charakterystycznym surducie, z nieodłączną książką w kieszeni, rozdarty między kupieckimi obowiązkami a literackimi ambicjami. Dziś jednak witryna sklepu odbijała tylko szare, jesienne niebo i spieszących ulicą przechodniów.

Matka Klary, która znała kiedyś starą panią Korzyńską z pensji pani Wilczyńskiej, często wspominała, jak to Jadwiga Kernówna wyszła za kupca wbrew woli ojca-księgarza, ale potem użyła całego swojego sprytu, by zapewnić synowi wykształcenie godne ich dawnej pozycji. „Bystra z niej kobieta – mawiała matka Klary z nutą podziwu w głosie. – Męża tak omotała, że sam nie wiedział, kiedy zgodził się wysłać chłopaka na studia. A teraz Julian prowadzi i sklep, i wykłady...”

Klara dotarła wreszcie do pensji pani Lambert. Prosta fasada trzypiętrowej kamienicy, z tabliczką: „Pensja Żeńska P. Lambert” przy wejściu, była jej drugim domem od trzech lat. To tu uczyła francuskiego i muzyki, to tu spędzała większość dni, to tu... poznała bliżej Juliana Korzyńskiego.

Pamiętała ich pierwsze służbowe spotkanie, gdy przyszedł omówić dostawy podręczników. Potraktował ją z tą samą uprzejmą obojętnością, którą prezentował światu, dopóki nie zaczęli polemizować nad sensem cierpienia w poezji romantycznej.

– Literatura to rzemiosło, panno Klaro, nie wolno mylić go z życiem – rzucił wtedy beztrasko.

– *Rien ne nous rend si grands qu'une grande douleur*¹ – odpowiedziała mu cicho, patrząc prosto w oczy.

Przez chwilę wydawało jej się, że w jego wzroku mignęło coś na kształt autentycznego zainteresowania. Ten cytat z Musseta – wypowiedziany po francusku, z idealnym akcentem i ową specyficzną nutą goryczy – sprawił, że na sekundę przestał być pewnym siebie recenzentem. Na pewno jej się wydawało, bo Julian Korzyński miał przecież opinię człowieka, który wprowadzie docenia inteligencję, ale wyłącznie u mężczyzn.

¹ *Rien ne nous rend...* (franc.) – Nic nie czyni nas tak wspaniałymi, jak wielki ból.

Klara Zawadzka rozpoczęła swoją lekcję francuskiego niezwykle błada. Jej szczupłe palce, zazwyczaj tak pewnie przewracające karty książki, dziś drżały ledwo dostrzegalnie. Tylko ona jedna wiedziała dlaczego – wczorajszy „Kurier Warszawski” przyniósł kolejną błyskotliwą recenzję pana Korzyńskiego, w której bezlitośnie skrytykował najnowszą powieść pani Orzeszkowej, nazywając ją „typowo kobiecą literaturą, pełną sentymentów, a ubogą w głębszą myśl”.

Siedząc teraz przed klasą trzecią, z trudem powstrzymywała gorzki uśmiech. W szufladzie jej biurka spoczywała złożona na czworo odpowiedź na tę recenzję, którą wczoraj do północy pisała w swoim pamiętniku. Nigdy nie miała odwagi wysłać takich tekstów do redakcji, choć wiedziała – och, jak dobrze wiedziała! – że jej argumenty są celne jak pchnięcia floretu.

– *Mademoiselles, ouvrez vos livres à la page cinquante-trois*² – powiedziała spokojnym głosem, podczas gdy jej myśli błądziły wokół innego tekstu, tego, który opublikowała miesiąc temu pod męskim pseudonimem, a który pan Korzyński tak entuzjastycznie chwalił w swojej kolumnie.

Pensja pani Lambert mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu, dokładnie naprzeciw kościoła Wizytek. Z okien klasy trzeciej roztaczał się widok na ulicę, gdzie właśnie teraz, jakby na przekór jej myślom, zatrzymała się elegancka dorożka. Klara wiedziała, czyja to dorożka – baronowa Dobrzyńska, główna dobrodziejka pensji, miała w zwyczaju przyjeżdżać o tej porze. Dziś jednak nie była sama.

– *Lucille, continuez la lecture*³ – poleciła jednej z uczennic, sama zaś mimowolnie śledziła scenę za oknem.

Julian Korzyński, w swoim nieodłącznym surducie w kolorze bordowym, pomagał baronowej wysiąść z dorożki. Jego wysoka, szczupła sylwetka odcinała się wyraźnie na tle szarej warszawskiej ulicy. Klara pomyślała, że jest w nim coś z kota – ta sama gracia ruchów i to samo okrucieństwo w spojrzeniu, kiedy przyłapuje mysz.

Odwróciła wzrok ku książce, ale jej uszy wyłapywały każdy stukot butów na korytarzu. Baronowa zwykle składała wizytę przełożonej, po czym lubiła „przypadkiem” zajrzeć na lekcję. Klara wiedziała, że dziś będzie tak samo – z tą różnicą, że baronowa przyprowadzi ze sobą pana Korzyńskiego, który niedawno zgodził się prowadzić dodatkowe wykłady z literatury.

² *Mademoiselles, ouvrez...* (franc.) – Panienki, otwórzcie swoje książki na stronie pięćdziesiątej trzeciej.

³ *Lucille, continuez...* (franc.) – Lucille, czytaj dalej.

Gdy Lucille z trudem brnęła przez francuski tekst, Klara poczuła znajomy zapach perfum baronowej – mieszaninę jaśminu i wanilii – i drzwi klasy otworzyły się bez pukania.

– *Ma chère mademoiselle* Zawadzka – głos baronowej ociekał słodyczą – czy mogłabym na moment przerwać pani lekcję? Pan Korzyński chciałby omówić program wykładów literackich.

Klara wstała od biurka z tym swoim zwyczajnym, ledwo widocznym wdziękiem. Spojrzała prosto w oczy Juliana Korzyńskiego, który zdawał się bardziej zainteresowany złotym zegarkiem w swojej kieszeni niż osobą nauczycielki.

– *Mais bien sûr, madame la baronne*⁴ – odpowiedziała płynną francuszczyzną, wiedząc, że baronowa ledwo rozumie coś więcej niż „oui” i „non”.

Pewnym ruchem wysunęła szufladę biurka, by wyciągnąć dziennik lekcyjny. Zrobiła to jednak o ułamek sekundy za szybko – przeładowana papierami szuflada stawiała opór, a gdy wreszcie ustąpiła, leżący na wierzchu świeży numer „Kuriera” zsunął się na podłogę. Gazeta była złożona na wpół, otwarta właśnie na stronie z recenzją Korzyńskiego – tak jak Klara zostawiła ją kwadrans wcześniej po kolejnej próbie opanowania drżenia rąk.

Julian pochylił się automatycznie, by podnieść gazetę. Klara zauważyła, jak jego wzrok pada na zakreślony czerwoną kredką fragment – ten najbardziej krzywdzący dla kobiecego pisarstwa.

Coś drgnęło w jego twarzy – cień zaciekawienia? Ironii? Spojrzał na nią uważniej, ale Klara już przywdziała swoją nauczycielską maskę – uprzejmą i nieprzeniknioną jak jesienne warszawskie niebo za oknem.

Otworzyła dziennik lekcyjny, by omówić program wykładów, podczas gdy jej dłoń mimowolnie powędrowała ku szufladzie, gdzie spoczywała jej wczorajsza odpowiedź na jego recenzję. Pomyślała, że życie czasem układa się jak powieść – tyle że nie zawsze jest to ta powieść, którą chcielibyśmy czytać.

– Program obejmuje literaturę ostatniego półwiecza. – Głos Juliana brzmiał pewnie i rzeczowo. – Romantycy, oczywiście, ale także najnowsze prądy...

Klara notowała mechanicznie, starając się nie zwracać uwagi na zapach jego wody kolońskiej, tak różny od taniej lawendy, którą skrapiali się subiekci w sklepie jego ojca. W pewnym momencie ich dłonie otarły się o siebie przy przekładaniu kartek. Julian nawet tego nie zauważył, zajęty wyliczaniem nazwisk autorów.

⁴ *Mais bien sûr...* (franc.) – Ależ oczywiście, pani baronowo.

Baronowa Dobrzyńska przysiadła tymczasem na krześle przy biurku i z uwagą obserwowała ich oboje. Jej jasne oczy, przyzwyczajone do wychwytywania najdrobniejszych szczegółów towarzyskich układów, zdawały się przenikać na wylot uczucia Klary ukryte pod maską uprzejmości.

– Musimy zadbać o odpowiedni poziom tych wykładów – powiedziała słodko. – W końcu to ja je finansuję.

Uczennice siedziały niezwykle cicho, chłonąc każdy szczegół tej sceny. Klara wiedziała, że jeszcze przed wieczorem cała pensja będzie huczała od plotek. Młodziutka Zosia Wilczyńska już teraz rumieniała się na sam widok pana Korzyńskiego, a Lucille wpatrywała się w nich tak intensywnie, że zapomniała o otwartej przed sobą książce.

– Mam nadzieję, że pan Korzyński znajdzie w naszej pensji odpowiednie audytorium. – Głos baronowej nabrał szczególnego tonu. – Wprawdzie to tylko dziewczęta, ale niektóre całkiem nieźle rozumieją literaturę... Prawda, panno Klaro?

Dziewczyna skinęła głową z niewzruszoną godnością. Julian tymczasem złożył kartkę z programem wykładów i wsunął ją do kieszeni surduta.

– Literatura wymaga pewnej... dojrzałości umysłu – powiedział z tym swoim charakterystycznym uśmiechem wyższości – ale postaram się dostosować poziom do możliwości słuchaczek.

Klara poczuła, jak jej palce zaciskają się mimowolnie na piórze. W szufladzie jej biurka spoczywała bezpiecznie odpowiedź na jego recenzję – ostre, przemyślane zdania, których on jeszcze nie czytał. Przez moment miała ochotę pokazać mu ten tekst i zapytać wprost, czy nadal uważa, że kobietom brak owej „dojrzałości umysłu”. Jednak w tej samej chwili baronowa wstała z krzesła.

– Ach, już prawie jedenasta! Muszę jeszcze zajrzeć do pani Lambert. Panie Korzyński, może pan mnie odprowadzi?

Julian skłonił się lekko. Wychodząc, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na biurko Klary, na którym leżała teraz otwarta księga dziennika. Coś w układzie jej dłoni, w sposobie trzymania pióra przykuło na moment jego uwagę. Zmarszczył brwi, jakby próbując sobie coś przypomnieć.

– Do widzenia, panno Zawadzka – powiedział już w drzwiach. – Mam nadzieję, że moje wykłady spełnią też pani oczekiwania.

Klara odpowiedziała tylko lekkim skinieniem głowy.

Kiedy drzwi się zamknęły, przez klasę przebiegł szmer stłumionych szeptów. Lucille pochyliła się do Zosi Wilczyńskiej, która wciąż nie mogła opanować rumieńców.

– *Mademoiselles!* – Głos Klary przywrócił porządek. – *Revenons à notre texte*⁵.

Dopiero wieczorem, gdy pensja opustoszała, a ostatnie uczennice rozeszły się do domów, Klara wyjęła z szuflady swoją odpowiedź na recenzję Juliana. Przeczytała ją jeszcze raz przy świetle lampy. Potem, starannie złożwszy papier na czworo, włożyła go do koperty.

W drodze do domu wrzuciła list do skrzynki redakcji „Kuriera Warszawskiego”. Na kopercie zamiast swojego nazwiska napisała pseudonim – ten sam, którym podpisywała swoje poprzednie artykuły.

Mgła gęstniała, latarnie gazowe rozmazywały się w wilgotnym powietrzu. Przed sklepem Korzyńskich subiektci właśnie zamykali okiennice. Z wyższego piętra, gdzie mieściło się mieszkanie właścicieli, sączyło się światło. Przez moment wydawało się jej, że dostrzega sylwetkę Juliana pochylonego nad książką. Odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku.

Jesień w Warszawie zapowiadała się długa i chłodna.

⁵ *Revenons à notre texte* (franc.) – Wróćmy do naszego tekstu.